

ZIMNA
TRZY
DZIE
ŚTO
LET
NIA

Rafał Woś

ZIMNA
TRZY
DZIE
\$TO
LET
NIA

NIEAUTORYZOWANA
BIOGRAFIA
POLSKIEGO
KAPITALIZMU

MANDO 

© Wydawnictwo WAM, 2019

Weryfikacja merytoryczna: dr hab. Łukasz Zweifel

Opieka redakcyjna: Damian Strączek

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Bartosz Szpojda

Projekt okładki: Katarzyna Legendź

Fot. na pierwszej stronie okładki:

Panorama Warszawy, 2003 rok © Włodzimierz Echeński / REPORTER

Opracowanie graficzne i skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2255-3

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: READ ME • Łódź

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

Książkę dedykuję tym wszystkim,
do których zimna TRZYDZIESTOLETNIA uśmiechała się zbyt rzadko.
Może to wszystko da się jeszcze jakoś naprawić?

WSTĘP

Dlaczego III RP zasługuje na biografię bez lukru?

Hłasko napisał *Pięknych dwudziestolnich*. Gruza i Toeplitz zrobili *Czterdziestolatka*. Ja zamierzam zmieścić się gdzieś pomiędzy nimi. Chcę opisać III RP. Będę ją tutaj nazywał na przemian TRZYDZIESTOLETNIĄ, TRZYDZIESTKĄ albo TRZYDZIESTOLATKĄ. To będzie nieoficjalna, niepoprawna i nieautoryzowana biografia naszej kapitalistycznej Polski.

Uwielbiam czytać biografie. Ale wiem też, że bardzo trudno napisać dobrą. Największym zagrożeniem jest utrata dystansu wobec bohatera. Zazwyczaj jest tak, że im autor lepiej poznaje obiekt swych badań, tym bardziej zaczyna się identyfikować, rozumieć okoliczności, tłumaczyć uwarunkowania. I ani się człowiek obejrzy, a już nie jest biografem, lecz adwokatem własnego bohatera. Czasem jest jeszcze prościej. Biografię zamawiają, żeby postawić pomnik. I niewielu znajduje w sobie tyle siły, co brytyjski malarz Graham Sutherland, któremu zlecono portret na 80. urodziny Winstona Churchilla. Artysta spędził z Buldogiem Albionu długie godziny, ale nie dał się urobić. Gdy Churchill zobaczył wreszcie portret, to wściekł się tak, że płótno wylądowało w ognisku przed domkiem letniskowym. Pewnie dlatego, że wielki premier dostrzegł na obrazie prawdziwego siebie. A nie narcystyczny wizerunek, który chciał widzieć.

Im więcej będzie takich „churchillowskich” reakcji na biografię TRZYDZIESTOLETNIĘ, tym lepiej. Po paru latach spędzonych na pisaniu zdają sobie już sprawę, że krytyczna postawa to jest coś, co większość

z nas lubi. Ale raczej w teorii. Niekoniecznie zaś w praktyce. Trudno. Biografia TRZYDZIESTKI musi być uczciwa. Upprzedzę więc lekko bieg wydarzeń. Niestety nie dochodzę na koniec do wniosku, że mamy za sobą najlepsze trzy dekady od czasów Zygmunta Starego i królowej Bony. Ani że było, jak było, ale generalnie to na lepszą TRZYDZIESTOLETNIĄ nas nie stać, więc basta, nie ma co wydziwiać. Dla mnie TRZYDZIESTOLETνια jest przede wszystkim zimna. Może nie okrutna czy zepsuta, ale na pewno zbyt często pozbawiona empatii i skupiona na sobie. Często pretensjonalna i pozerska. Nierzadko neurotyczna. Na pewno ani równa, ani serdeczna, i w zasadzie nigdy nie wspańiało-myślna. Wielu czytelników uzna pewnie, że przyczerniam. Możliwe. Będę się upierał, że tak jest dobrze. Tu stoję i inaczej nie mogę. Mam ku temu kilka dobrych powodów.

Po pierwsze, TRZYDZIESTOLETNIĄ traktuję po partnersku. Jesteśmy w podobnym wieku, więc nie mam wobec niej zapędów ojcowskich. Nie patrzę też na nią jak na święty obrazek ukochanej matrony. Ani nawet starszej siostry, która mnie wszystkiego nauczyła.

Po drugie, wiele nas łączy. Znamy się całe życie. Owszem, bywało, że się w niej podkochiwałem. Rzekłbym, że z wzajemnością, bo zdarzało mi się nie raz i nie dwa być jej pupilkiem. Gdy jednak widziała, że nie uda się mnie tak łatwo omotać, reagowała wściekłością. Nasyłała potem tych swoich histerycznych wujaszków i ciotuchny liberalnej rewolucji („nie będziesz nam tu, draniu jeden, naszej córeczki oczerniał”). Pocięszam się, że z tych nie zawsze miłych przygód płynie jednak moja siła. Polega chyba na tym, że znam TRZYDZIESTKĘ od tej najlepszej strony – gdy jest skupiona, dowcipna, elokwentna i pięknie pachnie. Ale też nieraz widziałem przecież, jak traktuje słabszych od siebie. Gdy jest trudna, złości się i mści, jest małostkowa i egoistyczna. Zbyt wielu znam takich, którym odebrała nadzieję. I jeszcze kazała im się tego wstydzic.

Mimo wszystko nie życzę jej przecież źle. Przeciwnie. Zamierzam z nią jeszcze trochę pożyć. Tu, nad Wisłą. Nie ma więc najmniejszego sensu, bym jej kadził, przytakiwał, a za plecami przewracał oczami („no sami wiecie, jaka jest”). Chcę jej powiedzieć wszystko. Bez kłamstw. Bo tylko prawda może być podstawą zdrowej i trwałej relacji.

Oboje wiemy, że ona musi się zmieniać. To naturalne. Niemowlaki uczą się chodzić, mówić, czytać i funkcjonować w społeczeństwie. Młodość przechodzi w dorosłość, która zwiastuje starość. Bez towarzyszących temu przemian nie ma mowy o prawdziwym życiu. Tak samo jest z TRZYDZIESTOLATKĄ. Ona też musi się zmieniać. Wiem, że nie lubi o tym mówić. Wiem, że na każdą taką uwagę reaguje histerycznie. Ale wiem też, że jest silna i potrafi. A może ta biografia jej w godnym przebrnięciu przez te przemiany jakoś pomoże?

Warszawa, w sierpniu 2019 roku

1. OJCOWIE TRZYDZIESTOLATKI. RZADZIEJ MATKI

Czytałem kiedyś biografię Karola Marksa, która niemal całkowicie skupiała się na jego relacjach z rodzicami oraz teściami. Nie Engels, nie spory z Bakuninem o Międzynarodówkę, nie „akumulacja pierwotna”, tylko właśnie rodzina. Ci, którzy otarli się kiedyś o psychologiczną terapię, pewnie potwierdzą, że przed tematem ojca i matki zazwyczaj nie da się uciec. Tym bardziej jeśli rodzice są w życiu dziecka obecni jeszcze długo po osiągnięciu przez nie pełnoletniości. A tak się składa, że jest to akurat przypadek TRZYDZIESTOLETNIJ, która wciąż nie potrafi przeciąć pępowiny z pokoleniem swoich ojców założycieli. (Uważny czytelnik zauważy, że w tym gronie brak matek. Bo przecież za matki III RP trudno uznać Hannę Suchocką albo Hannę Gronkiewicz-Waltz. To dość dobrze pokazuje, że przełom roku 1989 robiony był ponad głowami kobiet).

Mijają lata – a wraz z nimi kolejne pokolenia młodych gniewnych, którzy mieli wreszcie wysłać starych liberałów na emeryturę. Młodych już nie ma. Starzy trwają dalej. Ale jakże mają nie trwać, skoro kontrolują ogromną część zasobów materialnych społeczeństwa? I ani myślą podzielić się stanowiskami w zarządach firm, redakcjach opiniotwórczych mediów czy czołowych partiach politycznych. I jak tu od nich nie zacząć?

Polskie zoo

Lew Wałęsa. Koń Balcerowicz. Ryś Bielecki. Lis Michnik, Chomiki Kaczyńscy. Kaczor Donald. Przypomnijmy sobie kolorowy zwierzyniec z programu *Polskie Zoo*.

Gdy nie ma krat,
 przymusu brak,
 dozorczy też nawiali.
 Zmienia się zoo we wspólny dom,
 gdzie wolność i plu-ralizm,
 lecz gdy uważnie spojrzysz wkoło,
 mina ci zrzędzie mocno, bo
 niewydolne,
 chociaż wolne,
 polskie zoo.

Ta piosenka śpiewana przez Andrzeja Zaorskiego i Jerzego Kryszaka do słów Marcina Wolskiego jak magnes przyciągała w sobotni wieczór przed telewizor miliony ludzi. Satyryczny program z kukiełkami odgrywającymi polityków był oczywiście nawiązaniem do sięgającej lat 60. tradycji politycznej szopki noworocznej. Szopka była jednak raz w roku. A tu kukiełki miały komentować politykę co tydzień. Kryszak, Zaorski i Wolski wspominali po latach, że początkowo propozycję odrzucili, bojąc się, że wyzwania nie udźwigną. Jechali już nawet windą do wyjścia, kiedy nagle któryś rzucił: „a może by tak zwierzęta!”. Nacisnęli więc przycisk „stop”, wjechali z powrotem na górę i tak powstało *Polskie zoo*. Był rok 1991. Pierwszy odcinek nosił tytuł *Królewskie śniadanie*. Królem był oczywiście lew – wtedy świeżo upieczony prezydent Lech Wałęsa. Przybywa do niego ryś – premier Jan Krzysztof Bielecki

1. Ojcowie TRZYDIESTOLATKI. Rządziej matki

proszący o przyznanie rządowi dekretów potrzebnych do omijania rozdyskutowanego Sejmu. Dekretem przeciwny jest „koziół z tytułem profesorskim” i dawny doradca lwa, czyli Bronisława Geremek, pojawiający się zwykle w towarzystwie smętnego żółwia Tadeusza Mazowieckiego i cwane go lisa Adama Michnika. Bracia Kaczyńscy to zaś niezbyt sympatyczne i wiecznie coś knujące chomiki. Po wyborach w 1991 roku pojawiają się kolejne postacie. Krzaczastobrewy miś koala Jan Olszewski, wyżeł Antoni Macierewicz, byczek Waldemar Pawlak i Donald Tusk w niebieskim mundurku kaczora Donalda. Autorzy *Zoo* nie kryli się specjalnie ze swoimi sympatiami politycznymi. Widać to po doborze zwierząt dla szukających swojego miejsca w polskim parlamentarzystwie postkomunistów: Aleksander Kwaśniewski jest knurem, Józef Oleksy smokiem, Leszek Miller pająkiem, a Włodzimierz Cimoszewicz hieną. Pojawia się też generał Jaruzelski. Oczywiście jako wrona. Młodszym czytelnikom wyjaśnijmy, że „wrona” była obiegowym sposobem określania powołanej przez Jaruzelskiego w czasie stanu wojennego Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego. Orła wrona nie pokona!

Szczenięce lata parlamentarzystwa

Fenomen *Zoo* nie był przypadkowy. Przełom roku 1989 i 1990 przyniósł Polsce prawdziwą demokrację parlamentarną. To była kolosalna zmiana. W czasach PRL-u życie polityczne polegało na zakulisowych rozgrywkach, których tętno potrafili wyczuć tylko nieliczni dopuszczeni do wiedzy tajemnej. Na zewnątrz władza miała być monolitem. Rok 1989 wygonił polityków z gabinetów na scenę oświetloną reflektorami. Polityka stała się teatrem, a jej uczestnicy aktorami. Do pewnego stopnia postaciami kultowymi. Sprzyjał temu bezpośredni styl dawnych solidarnościowców, którzy byli wszak politycznymi naturalistami. Trzeba szczerze powiedzieć, że większość uczciwie (a często

z sukcesami) starała się temu zadaniu podołać. Widać to doskonale w dokumentach z tamtej epoki. Choćby w filmie Grzegorza Królikiewicza, który z kamerą towarzyszył kampanii Lecha Wałęsy. Widać tam, że lider „S” autentycznie wchodzi w tłum. Podejmuje spontaniczne potyczki słowne z przypadkowymi uczestnikami wieców. Nie odpuszcza. Walczy. To jest prawdziwe spotkanie polityka i wyborców. Osobom przyzwyczajonym do dzisiejszych wyreżyserowanych od A do Z masówek taka dynamika powinna imponować. Personalizacja i odformalizowanie procesu politycznego miały jednak również inne – nie zawsze korzystne – konsekwencje. Dobrym przykładem są wspomnienia Jeffreya Sachsa z jego podróży do Polski po wyborach 4 czerwca 1989 roku. W sumie tych podróży było między kwietniem a wrześniem 1989 siedem. Przypomnijmy, że gwiazdor harwardzkiej ekonomii podróżował do Warszawy za pieniądze miliardera George’a Sorosa (konkretnie jego Open Society Foundation, a potem finansowanej z tego samego źródła Fundacji Batorego). 18 czerwca obaj panowie przyjechali nawet do Polski razem. To wówczas doszło do kilku mniej lub bardziej formalnych spotkań z przywódcami „Solidarności”. „Nasze spotkanie odbyło się w mieszkaniu Jacka Kurońa – mówił mi Sachs w 2014 roku. – On palił jak smok, a ja mu o tym opowiadałem. Kuroń co jakiś czas walił pięścią w stół i powtarzał «racja» lub «rozumiem». Potem poprosił mnie o spisanie tego, co mówiłem. Odpowiedziałem, że nie ma problemu i że wyślę mu to za dwa tygodnie, po powrocie do Stanów. Ale on wtedy powiedział, że to musi być gotowe na już. Więc usiadłem i spisałem. Nad ranem dokument był gotowy”. Wedle innych relacji spisywanie planu odbywało się w redakcji „Gazety Wyborczej”.

W dojrzałym procesie politycznym taka sytuacja w ogóle nie powinna mieć miejsca. Sachs oraz pośrednio Soros skorzystali z tej samej ścieżki, którą w następnych latach będą szli inni lobbyści, mający w pierwszej fazie przemian wręcz nieograniczony dostęp do nieopierzonych

1. Ojcowie TRZYDIESTOLATKI. Rządziej matki

solidarnościowych decydentów, co niewątpliwie wpłynęło na kształt forsowanej przez nich transformacji. Tym bardziej że żaden z trójki ówczesnych strategów „Solidarności” (Michnik, Kuroń, Geremek) nie ukrywał, że na gospodarce się nie zna. To, w czym odnajdywali się dobrze, to intelektualne zwanie na temat – powiedzmy – sprawy Dreyfussa czy przedwojennej endecji.

Albo stare, dobre i znane z czasów opozycji metody. Charyzmatyczny Jacek Kuroń rzucał na szalę swoją popularność w telewizji, Wałęsa jeździł do zaniepokojonych zakładowych załóg, a „Gazeta Wyborcza” piórem Michnika i innych pisała, że nie ma innego wyjścia. Gdy wyznaczony przez nich na premiera Tadeusz Mazowiecki uznał, że model skokowej modernizacji Polski musi zostać wprowadzony w ciągu kilku miesięcy bez społecznych negocjacji, to plan Balcerowicza dostał „gabinetowe” błogosławieństwo Komisji Krajowej „Solidarności” i Lecha Wałęsy, a do skonsultowania go z pozostałą częścią świata pracy, w tym z OPZZ, nie doszło nigdy. Pominięto przy tym także rdzennie związkową część „Solidarności”. Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że dialog społeczny był przez elitę reformującą kraj traktowany jako potencjalne utrudnienie. Celowo nie starano się powołać odpowiednich instytucji, które mogłyby do takiej rozmowy doprowadzić. Ta decyzja mocno wpłynęła na kształt transformacji ekonomicznej, którą uznano za zadanie technokratyczne, a nie społeczne.

Rzeczywistość w końcu i tak ojców polskich przemian dopadła. O ile pierwsze sygnały ostrzegawcze od zmęczonego społeczeństwa (klęska Tadeusza Mazowieckiego w pierwszej turze wyborów prezydenckich w 1990 roku) dało się jeszcze zignorować, o tyle najpóźniej wraz z falą strajków w 1992 roku stało się jasne, że jakiś kompromis ze światem pracy jest konieczny. Dialog społeczny faktycznie się więc w końcu pojawił. Nie sposób dziś odpowiedzieć na pytanie, co by było, gdyby solidarnościowcy poszli ścieżką dialogu już w 1990 roku. Jedni

powiedzą, że wtedy planu Balcerowicza by nie było. I że to źle. Inni zakrzykną – szkoda, że tak się nie stało! Jedno wydaje się pewne – z powodu braku dialogu ze społeczeństwem i przez nadmierne poleganie ojców polskich przemian na nieformalnych gabinetowych ustaleniach doszło do tego, że solidny fundament rodzącego się podczas Okrągłego Stołu społeczeństwa obywatelskiego został zburzony. To nas zresztą odróżniało od większości krajów naszego regionu przechodzących transformację, w których (Czechy, Węgry) na początku przemian powołano do życia instytucje dialogu społecznego. Ale niestety nie u nas. U nas dialog społeczny to niestety dopiero rok 1993 i Kuroniowski „pakt o przedsiębiorstwie w transformacji”. A potem Komisja Trójstronna zaaranżowana na dobre dopiero po dojściu do władzy SLD. Jakież trzy, cztery lata za późno.

Pan Tadeusz

Zazwyczaj rola jednostek w historii bywa przeceniana. Powyżej próbowałem jednak pokazać, że akurat w wypadku polskich przemian indywidualności aktorów tego procesu miały swoją wagę. Warto w związku z tym nakreślić przynajmniej w zarysie ideowe sylwetki najważniejszych bohaterów tamtego czasu. To istotne z punktu widzenia naszej TRZYDZIESTOLATKI, która ma prawo wiedzieć więcej na temat swoich rodziców. Tym bardziej że – jak w każdej rodzinie – tak i tu pewnych pytań się od lat nie zadaje. Wielu ze wspomnianych tu bohaterów wciąż czeka na poważne biografie krytyczne.

Akurat na temat premiera Tadeusza Mazowieckiego mieliśmy po jego śmierci (umarł w 2013) kilka publikacji. Najpierw Andrzej Brzeziecki wydał *Biografię naszego premiera*. A potem Roman Graczyk opublikował *Od uwikłania do autentyczności*. Te książki dobrze oddają dwa główne nurty polskiej opinii publicznej. Biografia Brzezieckiego

1. Ojcowie TRZYDIESTOLATKI. Rządziej matki

usatysfakcjonowała tych, którzy w Mazowieckim widzą mądrego i dalekowzrocznego założyciela III RP. Postać pomnikową, którą jego dawny asystent trochę „uczłowieczył”, pisząc o rodzinie czy o zmaganiach z melancholijnym usposobieniem. Książka Graczyka jest dla tych, którym z III RP nie po drodze. Tak jak zresztą samemu Graczykowi, który streszcza ewolucję swojego stosunku do popularnego „Żółwia” w bardzo zgrabnym autobiograficznym wstępie. Od szacunku z czasów „Więzi” i pierwszej „Solidarności”, poprzez identyfikację z „naszym premierem” w czasie wojny na górze, do stopniowego rozczarowania tym, jak łatwo Mazowiecki dał się sprowadzić do roli listka figowego PO. Zwłaszcza po 2005 roku, gdy partia Donalda Tuska ostentacyjnie porzuciła projekt IV RP. Dla Graczyka szczególnie istotna jest kwestia lustracji. Należy bowiem do tych publicystów, którzy uważają, że III RP powinna była rozliczyć się z komunistyczną przeszłością. Takie stanowisko doprowadziło zresztą Graczyka do odejścia z „Gazety Wyborczej” w 2005 roku (pracował w niej od początku lat 90.).

Co jednak najbardziej znamienne, ani u Brzezieckiego, ani u Graczyka czytelnik nie znajdzie pytania o ekonomiczną naturę transformacji. I o to, czy przejścia od realnego socjalizmu do neoliberalnego kapitalizmu nie można było przeprowadzić lepiej, uczciwiej albo przynajmniej bardziej pragmatycznie. W jednym i w drugim wypadku transformacja gospodarcza rozumiana jest tu „po staremu”, to znaczy zgodnie z zasadą, że przecież nie było alternatywy. W nieznośnie grzecznej biografii Brzezieckiego to nie dziwi, bo tam nut polemicznych jest niewiele. Ale u Graczyka? Tego samego, który w pierwszych rozdziałach tej książki nie owija w bawełnę, pisząc o mało chlubnych epizodach biografii Tadeusza Mazowieckiego (jak przyłączenie się do stalinowskiej nagonki na biskupa Czesława Kaczmarka), a potem z taką subtelnością analizuje blaski i cienie relacji w trójkącie PZPR – koło poselskie Znak (Mazowiecki był jego członkiem) – prymas Wyszyński. Dlaczego nie

przeświała z tą samą rzetelnością sprawy dużo większego kalibru: politycznej odpowiedzialności premiera Mazowieckiego za plan Balcerowicza, który nie cechował się przecież ani jakimś przesadnym rozsądkiem ekonomicznym, ani nie został przeprowadzony przez parlament w pełnej zgodzie z prawidłami demokratycznego państwa. Rozumiem, że może gospodarka nie jest konikiem Graczyka, ale mógł przynajmniej podjąć próbę zmierzenia się z tematem, nie zadowolając się jedynie cytowaniem relacji Waldemara Kuczyńskiego (głównego doradcy Mazowieckiego) i Jerzego Koźmińskiego (prawej ręki Balcerowicza). Mógł choćby zapoznać się z krytyką formułowaną wobec Mazowieckiego przez ekonomistę Tadeusza Kowalika, człowieka, który wciągnął przyszłego premiera w „Solidarność” i zabrał ze sobą do strajkującej stoczni w 1980 roku. „Nie dziwiło mnie, że Mazowiecki broni dorobku swojego rządu. Dziwiło mnie, że traktuje pytania o błędy jako w gruncie rzeczy nieuprawnione” – napisał Roman Graczyk we wstępie do książki. A mnie dziwi, że autor tak przenikliwego zdania sam popełnił dokładnie ten błąd, pisząc polityczną biografię ojca założyciela wolnej Polski bez uwzględnienia pejzażu ekonomicznego.

Takiej biografii Mazowieckiego ciągle więc nie ma. Nie ma odpowiedzi na pytanie, jak ten chrześcijański personalista (czytelnik Maritaina i Mouniera), chadek typu Ludwiga Erharda, autor solidarnościowej trójsyntezy jako ruchu – jednocześnie niepodległościowego, chrześcijańskiego i socjalistycznego – mógł się stać patronem radykalnie niesolidarnej transformacji.

Mazowiecki był oczywiście premierem symbolicznym. Do dziś pamięć o jego rządzie jest więc trochę jak wspomnienie pierwszej licealnej miłości. Wszystko wtedy było nowe i ekscytujące. Niezapomniane *exposé*, zdobywanie przez opozycjonistów kolejnych przyczółków skostniałego aparatu państwowego, rodzące się demokratyczne życie parlamentarne, epickie spory medialne. Cała rzecz trwała na dodatek

1. Ojcowie TRZYDZIESTOLATKI. Rządziej matki

dość krótko, bo ledwie 16 miesięcy. Zbyt krótko, żeby spowszednieć. Do tego jeszcze ten klimat. Papierosy Mazowieckiego, dzins Kuroń, wielkie okulary młodego Balcerowicza, seksapil Niezabitowskiej. Do tego jeszcze osobiste przymioty popularnego „Żółwia”. Skromny, uczciwy, kulturalny. On nigdy nie wpadłby na pomysł, by zostać na emeryturze lobbystą dyktatora Kazachstanu – jak Aleksander Kwaśniewski.

Jednocześnie nie możemy zapominać o jednym. Tadeusz Mazowiecki był nie tylko symbolem, lecz przede wszystkim politykiem. I jak każdemu ważnemu politykowi należy mu się uczciwa oraz trzeźwa ocena jego dorobku. W interesującej nas kwestii polityki ekonomicznej dorobek Mazowieckiego nie wygląda najlepiej. A już na pewno nie tak wspaniale, jak chcieliby piewcy polskiej transformacji. Nie można zaprzeczyć, że w wyniku podjętych przez rząd Mazowieckiego posunięć ekonomicznych (czyli terapii szokowej) polska gospodarka przeżyła bezprecedensowe tąpnięcie. W latach 1990–1991 polski PKB skurczył się o 15 proc. Tylko w 1990 roku przeciętne płace spadły o 25 proc., emerytury i renty o 19, a dochody netto z rolnictwa (na jednego pracującego) o 63 proc. W 1989 roku poniżej minimum egzystencji żyło 16 proc. społeczeństwa. Cztery lata później około 40 proc. Nie chodzi tylko o liczby, lecz również o przyjętą wówczas filozofię transformacji. „Zapewniono nas, że koszty reform będą sprawiedliwie rozłożone na wszystkie grupy społeczne. Ale w praktyce rząd zupełnie nie liczył się z tym, że terapia szokowa przekroczyła granicę społecznej akceptacji” – pisała wówczas związana z „Solidarnością” ekonomistka Aurelia Polańska. Jeszcze dosadniej ujął to inny doradca dawnej opozycji Tadeusz Kowalik: „Jak to możliwe, że najbardziej masowy ruch pracowniczy dokonał przewrotu, z którego wyłonił się jeden z najbardziej niesprawiedliwych ustrojów społecznych, jakie zna historia powojennej Europy”.

Czy tamte wydarzenia obciążają polityczne konto Tadeusza Mazowieckiego? Chyba jednak tak. Gdy czyta się wspomnienia osób bliskich ówczesnemu premierowi (np. jego głównego doradcy ekonomicznego i przyjaciela Waldemara Kuczyńskiego), doskonale widać, że Mazowiecki oddał gospodarkę walkowerem. Podobnie jak wielu innych przedstawicieli wierchuszki „Solidarności” był prawym i odważnym państwowcem. Ale na ekonomii się nie znał. We wspomnieniach Kuczyńskiego widać, że Mazowiecki nie był naiwny. Instynktownie nie ufał zbyt prostym, jego zdaniem, receptom młodego neoliberalnego wilka z Harvardu Jeffreya Sachsa, któremu przypisuje się intelektualne autorstwo koncepcji terapii szokowej. Co nie zmienia faktu, że po wielu wahaniach to Mazowiecki dał tej polityce zielone światło. Od wrażliwego społecznie polityka związanego z katolicką lewicą można by jednak oczekiwać więcej.

Podobny zarzut może dotyczyć powołania na stanowisko wicepremiera Leszka Balcerowicza. Mazowiecki podobno liczył, że 42-letni ekonomista z SGH będzie jego Ludwigiem Erhardem. Tyle że Erhard to ojciec niemieckiej koncepcji społecznej gospodarki rynkowej, dla którego ekonomia to nie tylko strona podażowa, lecz także popytowa. Tymczasem Balcerowicz nigdy nie ukrywał, że elementu „społecznego” powinno być w gospodarce jak najmniej. Najlepiej wcale. On nie widzi też zupełnie popytowych sposobów na nakręcanie gospodarki. To przecież dokładnie odwrotna filozofia ekonomiczna. A Mazowieckiemu wszak nikt Balcerowicza nie wmusił. W wyborze dowódcy odcinka gospodarczego premier miał wolną rękę. Wybrał tak, jak wybrał. I to też jest jego polityczna odpowiedzialność.

„Kuroń Michnik” zamiast „Kuroń Modzelewski”

Podobno w latach 60. wielu zwykłych słuchaczy PRL-owskiego radia sądziło, że „Kuroń Modzelewski” to imię i nazwisko jakiegoś tajemniczego buntownika. Faktycznie od czasów głośnego Listu do Partii z roku 1964 losy obu działaczy mocno się splotyły. Stali się symbolami nowego zjawiska, z którym władza nie bardzo wiedziała, jak sobie poradzić. Nie byli takimi „wrogami” władzy ludowej, jak dawni akowcy, niepokorni katoliccy biskupi albo dawni ziemianie. Kuroń i Modzelewski sami siebie określali mianem marksistów. I w swojej krytyce zachodzili Partię z lewej. Pytali, gdzie jest obiecana demokracja pracownicza w zakładach. Dopominali się o wolność, za którą tak wielu socjalistów poszło na szubienicę cytadeli albo na katorgę.

Ale mniej więcej w latach 70. duet Kuroń Modzelewski pęka. I nie odrodzi się już nigdy. W autobiograficznej książce *Zajeżdżymy kobyłę historii* ten ostatni przyznaje, że po wyjściu na wolność po kolejnej odsiadce postanowił zmienić swoje życie. W jakimś sensie godząc się z „gulaszowym socjalizmem” epoki Gierka, Modzelewski wyjechał do Wrocławia i tam poświęcił się karierze historyka mediewisty. Kuroń zaś nie przestawał spiskować. U jego boku pojawił się młodszy o dekadę Adam Michnik – charyzmatyczny i opromieniony sławą „osobistego wroga Władysława Gomułki” w czasie studenckich wystąpień w marcu 1968 roku. Aż do połowy lat 90. duet „Kuroń Michnik” stanie się nowym synonimem polskiego opozycjonisty intelektualisty. Później uosobieniem nurtu „lewicowo-liberalnego” w łonie solidarnościowej opozycji.

Rola wydawcy solidarnościowej „Gazety Wyborczej”, która szybko stała się również ekonomicznym sukcesem i zaczynem giełdowej dziś spółki Agora, sprawiła, że Michnik do dziś jest jedną z najważniejszych osób publicznych w III RP. W tej roli był już opisywany po wielokroć. Zazwyczaj bez koniecznego dystansu. Dlatego moim

ulubionym portretem Michnika jest ten, który wyszedł spod pióra Michała Siermińskiego – badacza najmłodszej generacji kompletnie niewikłanego w towarzysko-polityczne sieci zależności i urazów wobec naczelnego „Wyborczej”. Jego wydana kilka lat temu książka *Dekada przełomu* uczciwie i wyczerpująco odpowiada na pytanie, dlaczego syn komunistycznego aparaczyka, jeszcze około 20. roku życia deklarujący się jako „marksista”, staje się w czasach transformacji najbardziej gorliwym zwolennikiem skrajnie antyspołecznej terapii szokowej. Z portretu nakreślonego przez Siermińskiego wyłania się obraz Michnika zbieżny z moją własną oceną tej postaci. To portret pesymistycznego intelektualisty, którego podstawowym odruchem jest strach. Strach przed krajem, w którym przyszło mu żyć, oraz przed jego mieszkańcami.

Z rekonstrukcji światopoglądu Michnika na podstawie jego licznych tekstów publicystycznych wyłania się następujący obraz: komuna była rodzajem lodowca, który zamroził obrzydliwe narodowe demony harujące w okresie II Rzeczypospolitej. Teraz jednak, gdy lodowiec zniknął, znów wypełzną na powierzchnię. Dlatego należy zrobić wszystko, aby ten proces powstrzymać. Problem polega jednak na tym, że wyznający taki światopogląd Michnik nie jest (i nie był) tylko pierwszym lepszym intelektualistą, lecz liderem najpoczytniejszego w swoich czasach medium. Michnik nad swoją gazetą (czy szerzej środowiskiem) górował do tego stopnia, że w jej ramach nigdy nie wykształciła się autentyczna intelektualna przeciwwaga dla jego dominacji. Ci zaś, którzy próbowali się postawić, szybko gazetę opuszczali. W ten sposób „Wyborcza” dość szybko przestała spełniać zadanie, do którego została powołana przed wyborami w 1989 roku. Miała być przecież (o czym w środowisku „GW” nie chcą dziś pamiętać) emanacją wielonurtowej „Solidarności” tamtych czasów. Miała być jej medialnym organem. Stała się – jak powiadają z przekąsem krytycy – „organem Michnika”. A wkrótce (po powołaniu

1. Ojcowie TRZYDIESTOLATKI. Rządziej matki

spółki Agora i jej wejściu na giełdę) wręcz prywatnym przedsięwzięciem biznesowym. Uwłaszczeniem grupy ludzi na etosie całej „Solidarności”. Pisał o tym gorzko dekadę temu Ryszard Bugaj na łamach „Dziennika” w głośnym tekście *Jak uwłaszczyli się ludzie „Wyborczej”*.

Gdy więc nałożymy na siebie Michnika, pesymistycznego intelektualistę, Michnika, wpływowego gracza politycznego, i Michnika, medialnego barona, powstaje mieszanka wybuchowa. To powód, dla którego autor *Kościola lewicy dialogu* do dziś rozpala takie emocje. Rządziej pamiętamy o szkodach, jakie ta potrójna rola wyrządziła samemu Michnikowi. Z błyskotliwego, czarującego i nastawionego na dialog intelektualisty, którym zachwycali się wszyscy zarówno po stronie władzy, jak i opozycji, przeistoczył się Michnik w konserwatystę skupionego na obronie własnej wizji III Rzeczypospolitej, zazdrośnie tropiącego wszelkie przejawy buntu wobec narracji o dziejowym sukcesie. Do tego dołączmy poparcie inwazji USA na Irak w 2003 roku, brak zrozumienia dla południowoamerykańskich ruchów lewicowych, paniczny strach przed populizmem czy wreszcie kompletny brak gotowości do podważenia neoliberalnego konsensusu waszyngtońskiego w światowej gospodarce. Te wszystkie wątki łączy właśnie strach przed zmianą, przekonanie, że to, co mamy, jest najlepsze, co możemy mieć, i nie ma co kombinować. To Michnik widziany z perspektywy mojego pokolenia.

Czym się różni Kuroń

Na tym tle Kuroń jawi się dziś jako postać dużo bardziej pocziwa. To głównie pamięć po jego roli ministra ds. polityki społecznej w rządzie Mazowieckiego i pomysłodawcy słynnej kuroniówki – darmowej zupy dla bezrobotnych. Paradoks polega na tym, że sposób myślenia Kuronia na temat polityki społecznej państwa z czasów, gdy był ministrem, po prostu przeraża. Autor mówi tam sporo o potrzebie

ochrony najsłabszych. „Im więcej pomocy społecznej, tym mniej ludzkiej aktywności i tym gorsze społeczne efekty” – pisał w *Mojej zupie*.

Kuronia odróżnia od Michnika także cały szereg samokrytycznych wystąpień w ostatnich latach życia. „Nasz «skok w kapitalizm», tak jak go przeprowadzono, był pierwszym wielkim oszustwem. Zamknięcie się Balcerowicza w resortowej wieży z kości słoniowej spowodowało, że nie był w stanie reagować na zwrotne sygnały, które gospodarka wysłała swoim reformatorom” – mówił w 1997 roku Jackowi Żakowskiemu. Jeszcze później zaczął rewidować prezentowane w trakcie przełomu przekonanie, że marksistowska krytyka kapitalizmu jest anachroniczna. Ci, którzy znali Kuronia z tego okresu, twierdzą nawet, że ten „rachunek sumienia” bywał czasem wyciszany przez dawnych politycznych towarzyszy. Na zasadzie: „Jacek już jest zmęczony i schorowany”. Niestety, ten ostatni etap życia i krytyczny rozrachunek z transformacją nie wybrzmiewa również w biograficznych szkicach pisanych przez bliskie Kuroniowi osoby. Zarzut ten postawić można książce *Jacek* pióra Anny Bikont i Heleny Łuczywo. Autorki nie ukrywają wprawdzie, że Kuroń odchodził niepokodzony z rolą zachodniego kompradora instalującego nad Wisłą turboneoliberalizm. Co do zasady przekonują je jednak cytowane w biografii wyjaśnienia Michnika, że „Jacek był człowiekiem czynu i rewolucjonistą”, który po zwycięstwie nie potrafił znaleźć sobie miejsca w nowej rzeczywistości.

Na ich tle Modzelewski uczynił faktycznie najwięcej, by kurs transformacji zmienić. I to nie *post factum*. To z jego inicjatywy powstała w parlamencie kontraktowym tzw. Grupa Obrony Interesu Pracowniczego (GOIP). Była to próba stworzenia wśród solidarnościowych posłów nieformalnej opozycji wobec planu Balcerowicza. I to wcale nie miała, bo licząca w szczytowym okresie 30 parlamentarzystów. Modzelewski wygłosił wówczas w Senacie ostre przemówienie krytykujące wiele elementów planu Balcerowicza, zwłaszcza projekt ustawy

1. Ojcowie TRZYDIESTOLATKI. Rządziej matki

o opodatkowaniu wzrostu wynagrodzeń, wprowadzający popiwek, a więc drakońskie kary za podnoszenie płac. Popiwek nie tylko dławiał popyt, ale co gorsza, w warunkach wysokiej inflacji wpychał w biedę tysiące ludzi zatrudnionych w firmach państwowych. Modzelewskiemu nie podobała się też ustawa o gospodarce finansowej przedsiębiorstw państwowych, która znosiła limit dywidendy w zysku przedsiębiorstw. Pogarszała ona położenie przedsiębiorstw państwowych, zachęcając wręcz, by doprowadzać je do stanu upadłości. To była ukryta furтка do ich pospiesznej prywatyzacji.

Oprócz Modzelewskiego, Ryszarda Bugaja i Aleksandra Małachowskiego trzon GOIP-u tworzyło wielu solidarnościowych tuzów, na przykład założyciel PPS-u i KOR-u Jan Józef Lipski oraz działacz „Solidarności” z Huty Warszawa Andrzej Miłkowski. W GOIP-ie znalazł się też Zbigniew Romaszewski, w III Rzeczpospolitej związany z Ruchem Odbudowy Polski oraz Prawem i Sprawiedliwością. Pod deklaracją założycielską podpisali się również działaczka Unii Demokratycznej (a potem Unii Wolności i Partii Demokratycznej) Grażyna Staniszevska oraz Radosław Gawlik, jeden z najmłodszych posłów do sejmu kontraktowego i organizator pierwszych demonstracji przeciwko budowie elektrowni atomowej w Żarnowcu, następnie poseł Unii Wolności. Krytyczną postawę wobec planu Balcerowicza zajęło też kilkoro działaczy związanych potem ze środowiskiem Radia Maryja, między innymi późniejsza marszałek Senatu Alicja Grześkowiak.

Po fiasku tego przedsięwzięcia Modzelewski brał jeszcze udział w budowaniu już oficjalnej partii politycznej pod nazwą Solidarność Pracy – która wkrótce zmieniła nazwę na Unia Pracy i do 1997 roku odgrywała w polskiej polityce pewną rolę. Sam Modzelewski wycofał się na pozycję komentatora obserwującego życie publiczne z pewnego dystansu. Swojego negatywnego nastawiania do solidarnościowej polityki z lat 1989–1993 nigdy jednak nie ukrywał. Krytykował swojego

przyjaciela Kuronia (wypowiedzi zazwyczaj łagodził w autoryzacji). Pytanie, co by było, gdyby „Kuroń Modzelewski” nie ustąpił miejsca „Kuroniowi Michnikowi” i to on został prawym ojcem TRZYDZIESTOLATKI, jest nęcące. Niestety, nigdy nie dowiemy się, jak to by było. Faktem jest, że Modzelewski do końca był solą w oku dla entuzjastów transformacji. Gdy odszedł (wiosną 2019), ruszyła machina wygładzająca jego spory ze środowiskiem „Gazety Wyborczej” i dawnej Unii Wolności. Dla tych, którzy znali go jako zawziętego krytyka III RP, wizyta na zorganizowanym przez Fundację Batorego wieczorze pamięci po Karolu Modzelewskim była doświadczeniem traumatycznym. Słuchając kolejnych mówców, można było odnieść wrażenie, że w zasadzie kurs przyjęty po 1989 roku był spełnieniem marzeń słynnego historyka i opozycjonisty. On sam nie mógł już niestety zaprotestować.

Czyj Lech?

Postać robotniczego lidera „Solidarności” jest przy narodzinach TRZYDZIESTOLATKI dziwnie nieobecna. Niby wiemy, że bez niego nie byłoby III RP i że to on pociągał za sznurki przy mianowaniu rządu Mazowieckiego. Później miał jeszcze pięć lat dość aktywnej prezydentury (1990–1995). A jednak pozostaje rozczarowaniem. Robi wiele, jeszcze więcej krzyczy, mówi i zapowiada. Ostatecznie jednak nie odgrywa roli podmiotu politycznego. Koniec końców wypełnia role i wpisuje się w narracje podsuflowane mu przez innych. Choć jest jednym z niewielu robotniczych przywódców, którzy pozostali w „Solidarności” po stanie wojennym, bardzo pilnuje, żeby „Solidarność” nie odrodziła się zbyt mocna, bo to uniemożliwi radykalną reformę.

W decydującym momencie ostatecznej artykulacji programu Balcerowicza nie tylko rezygnuje z negocjacji, lecz proponuje niemal całkowite oddanie władzy rządowi. W kampanii wyborczej w 1990

1. Ojcowie TRZYDZIESIOLATKI. Rządziej matki

roku ma wiele słusznych intuicji. Wyczuwa zmęczenie zbyt forsownymi przemianami oraz bezbłędnie diagnozuje ludową wściekłość z powodu transformacyjnych przekrętów. Rzuca ciekawe koncepcje, jak głośne „Sto milionów dla każdego”, które mogło być ersatzem dochodu podstawowego w czasach balcerowiczowskiej smuty. Albo mówi o potrzebie „pogonienia aferzystów w skarpetkach”. Zbiera za to ciągi, wygrywa, po czym... pozostawia na stanowisku Leszka Balcerowicza.

Choć jeszcze przed wyborami kazał skompletować zespół doradców, w którego skład prócz polityków Najdera, Olszewskiego czy Macierewicza wchodził też ekonomiści: Stefan Kurowski i Jan Winniecki. Na dodatek fotel szefa rządu powierza Janowi Krzysztofowi Bieleckiemu reprezentującemu środowisko gdańskich liberałów, a więc akurat te kręgi w obozie solidarnościowym, do których przyłążyło Balzakowskie „pierwszy milion trzeba ukraść”.

Dlaczego tak się dzieje? Niewłaściwi doradcy? Brak zaplecza? Słabość charakteru? Strach? Jakies inne powiązania i lojalności związane z uwikłaniem Wałęsy w kontakty ze Służbą Bezpieczeństwa? Zwłaszcza w kontekście kwitów na lidera „S”, jakie przez lata trzymał w pogotowiu gen. Czesław Kiszczak. „Trzeba znać Wałęsę, żeby to zrozumieć. Jego drogi i decyzje często były właśnie takie... Wałęsowe. To była jego siła, ale i jego przekleństwo” – powiedział mi kiedyś jeden z jego byłych współpracowników. I może na tym trzeba poprzestać z braku pełniejszego portretu.